

TRYBUNA NARODU

pod kierownictwem KAROLA HUBERTA ROSTWOROWSKIEGO

TREŚĆ: MURMAŃCZYK: Zawodne leki. — K. H. ROSTWOROWSKI: Do poety. — w. r. Polska w kręgu dzisiejszej polityki światowej
Prof. U. J. WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI: Konserwatyzm a nacjonalizm. — Prof. U. J. WŁADYSŁAW SZAFER: Na dolnym
pokładzie okrętu transatlantyckiego. — Dokumenty. — Przegląd pism. — Dział organizacyjny.

ZAWODNE LEKI.

Argumentem, którym „obóz sanacji moralnej” usiłował przemówić, a może nawet częściowo przemówił do przekonania licznem rzeszom swoich przed i po-majowych zwolenników, było obiecywanie silnego, trwałego rządu. Argument był dobry, więc nic dziwnego, że ludziska brali się na lep. Polska, jak żadne inne państwo parlamentarne, odczuwa brak silnej ręki u góry, ogół widział tylko skutki tego, nie uświadamiał sobie jednak przyczyn.

Miernikiem siły rządu jest jego trwałość. W ustroju parlamentarnym trwałość taka jest zawsze bardzo illuzoryczną, najmniejsze przesunięcie sił na terenie parlamentarnym, gdzie w praktyce do wyjątków niemal należy większość bezwzględna, obalało gabinet. Jest to złem, które już dawno uświadomiły sobie demokratyczne społeczeństwa, mające praktykę rządzenia znacznie dłuższą od naszej i które chorobę ząbkowania w ustroju demokratyczno-parlamentarnym przeszły kilkadziesiąt lat temu. Społeczeństwa te wiedzą doskonale, że faktycznymi kierownikami maszyny państwowej są nie ministrowie, lecz wyżsi funkcjonariusze poszczególnych resortów. Minister może się zmieniać, bo jest on od tego, by targować się o budżet dla swojego resortu no i nadstawiać swoją głowę pod miecz krytyki za błędy popełnione przez podsekretarzy stanu i dyrektorów departamentów czy sekcji. Minister jest wtedy faktycznym kierownikiem swojego resortu, gdy, albo przeszedł poprzednio przez szereg stopni hierarchii urzędniczej, albo na swoim fotelu ministerjalnym się odsiedział i czegoś nauczył, System taki, możliwy u innych, u nas zaprowadzonym być nie mógł dla prostych bardzo przyczyn, bo nie mieliśmy stanu urzędniczego, któryby mógł sprostać tak ciężkim obowiązkom; u nas

minister był faktycznym kierownikiem resortu, choćby dlatego, że resort ten dopiero się organizował, a żaden z nich jeszcze zorganizowanym nie jest definitywnie. Ciągłe trzeba coś poprawiać, dobudowywać, burzyć, łątać, sztu-kować, usuwać, obcinać.

Rządu naprawdę trwałego Polska Odrodzona dotąd nie miała. Wina w tem Sejmie, odpowie ogromna większość społeczeństwa. Być może, lecz tylko częściowa. Wina w tem samego społeczeństwa, że nie umiało wybrać Sejmu, któryby mógł stworzyć odrazu silny, trwały rząd. Wina w tem Sejmie, że na rząd taki zdecydował się zbyt późno. Za winy te odpokutowaliśmy dość ciężko. Czy nastąpiła poprawa? Nie! Ministrowie i gabinety zmieniają się tak jak dawniej, choć w erze po-majowej, jak dotąd, dzięki bierności Sejmu, rząd mógłby być trwałym. Jednak nim nie jest. Przez ośm ubiegłych miesięcy mieliśmy już trzy gabinety, dwa p. Bartla i obecnie rządzący p. Piłsudskiego. Widzieliśmy trzy zmiany na stanowisku ministra skarbu (p. Czechowicz, p. Klarner i znowu p. Czechowicz), dwa na stanowisko ministra spraw wewnętrznych (p. Młodzianowski i p. Składkowski), dwa na stanowisku ministra sprawiedliwości (p. Makowski i p. Meysztowicz), aż cztery na stanowisku ministra oświaty (p. Mikułowski-Pomorski, p. Sujkowski, p. Bartel i p. Dobrucki). Więc zmiany w najważniejszych resortach. W imię jakiej zasady zmiany te były dokonywane? Czy zastąpienia dyletantów fachowcami? Nie! W dwóch wypadkach zmiana wyszła z inicjatywy Sejmu (p. Sujkowski i p. Młodzianowski) lecz i w tym wypadku p. Premier uznał za stosowne podkreślić, że nie poddaje się woli Sejmu. Nie krytyka Sejmu była więc bodźcem

do tak częstych zmian w łonie gabinetu, lecz zmiany te były objawem jakiejś choroby nurtującej w naszym organizmie państwowym. Poseł Niedziałkowski wymieniał swego czasu kilka, choć zdaniem naszym, tylko w dwóch wypadkach diagnoza była trafną, wmawianie nam dwóch innych chorób wkraczało już w sfery demagogii wiecowej. Zdefiniowanie choroby dokonane przez lekarza, który cieszy się zaufaniem pacjenta powinno mieć bodaj ten skutek, że pacjent posłucha tych rad i na przyszłość wystrzegać się będzie wszystkiego, co mu szkodzi.

Wypadki ostatnich dni wykazują dobitnie, że pomiędzy diagnozą a leczeniem choroby leży przepaść bez dna.

Niemal codziennie czytamy o nowych zmianach w łonie rządu, to ustąpić ma sam p. Premier, to znów p. minister sprawiedliwości, to znów p. minister komunikacji. Gabinet ma być powiększony o jednego czy nawet kilku nowych ministrów, którym trzeba dopiero wnosić fotele, dawno już wyrzucone na śmietnisko, a których braku nikt nie odczuwał. Czy zmiany te robione są w myśl zasad choćby przez posła Niedziałkowskiego postawionych? Spróbujmy rozpatrzyć bezstronnie wszystkie za i przeciw, zanim wydamy sąd.

Najpoważniejszym kandydatem na fotel nowokreowanego ministra poczty i telegrafów, w chwili gdy to piszemy, jest p. poseł Miedziński. Jego kwalifikacje na ten urząd są chyba te, że jest dokładnie obznajmiony z czarnymi gabinetami i różnemi stacjami podsłuchowemi, jakie mimo tylekrotnych zapewnień jeszcze istnieją. Poseł Miedziński jest oficerem odkomenderowanym do Sejmu, teraz z kolei będzie odkomenderowanym do rządu. Gdyby przynajmniej w wojsku był oficerem wojsk łączności, no to znałby się na telegrafii i radio, ale w wojsku był on dygnitarzem w II Oddziale sztabu (wywiad) więc znać się powinien na czarnych gabinetach i stacjach podsłuchowych. Ha! Może on nareszcie im poradzi! P. Romockiego zastąpić ma inny odkomenderowany do Sejmu oficer, p. Polakiewicz. Ten niema nawet tych kwalifikacji co p. Miedziński. Kwalifikacje p. Polakiewicza ograniczają się już wyłącznie do faktu używania przez niego kolejki za środek lokomocji.

Pogłoski o zmianie na stanowisku premiera lansowane były właśnie przez dzienniki bardzo blisko osoby p. Premiera stojące. Motywy podawane wtedy dają się streścić następująco: p. Premier chce oddawać się całkowicie ministerstwu spraw wojskowych. Więc i w tym wypadku widoczne jest, że stanowisko to obsadzone jest przez polityka, który z trud-

nością może pogodzić dwie funkcje, a nawet pogodzić ich nie może, gdy dla pewnych spraw obcych mu najzupełniej, powołuje do swego boku pomocnika, który jest faktycznym kierownikiem rządu w sprawach nieobejmujących zagadnień związanych z resortem spraw wojskowych.

Mit o silnym, trwałym rządzie rozwiął się w ciągu ośmiu miesięcy. Nawet najwięksi entuzjaści, wyłączając zaślepieńców, już nie wierzą.

Musimy tu z całym naciskiem podkreślić, że właściwie nikt z tym rządem nie walczył, nikt go nie chciał obalać. Sejm powstrzymywał się od krytyki, pozwalał rządowi działać, a nawet uchwalił zmianę konstytucji i wyposażył rząd w daleko idące pełnomocnictwa. Głowa Państwa również żadnego nacisku na rząd nie wywiera, a jednak rząd ten nie czuje się silnym i przeprowadza ciągle zmiany wewnętrzne. Inni choć w zasadzie byli mu przeciwni, jednak przeciw niemu nie występowali, bo uważali, że lepszy dla państwa będzie pożytek z rządu już istniejącego, niż nowe przesilenie.

Spółeczeństwo musi się liczyć poważnie z jednym. Rząd ten, mimo, że posiada wyjątkową możność zapewnienia sobie trwałości, pewnego pięknego poranku, zdawszy sobie sprawę, że dalej maszyny państwowej poprowadzić nie będzie w stanie, ustąpi; stać się to może bez niczyjego nacisku, poprostu rząd zdecyduje, że ma dość kierowania nawą państwową i wycofa się do Sulejówka.

Spółeczeństwo musi być na taką chwilę przygotowane. Być może, że stanie się to jeszcze przed wyborami do nowego Sejmu. Przekonałiśmy się, że oprócz zaufania Sejmu, potrzebne jest jeszcze i zaufanie całego społeczeństwa, a przynajmniej większości tego społeczeństwa. Nowy rząd, choćby wyłoniony z poród partyj teraźniejszego Sejmu będzie musiał odpowiadać ustosunkowaniu sił w narodzie, więc już teraz trzeba się konsolidować, nie czekając okresu przedwyborczego. Konsolidacja, jeżeli ma przynieść uzdrowienie w stosunkach społecznych nie śmie być jakimś nowym blokiem wyborczym, który na terenie przyszłego sejmu może dać rezultaty podobne do rezultatów sejmu obecnego. Ludzie, myślący kategorjami stanu, teren do tej konsolidacji stworzyli, teraz kolej na szary tłum, by na drogę im wskazaną wstępował co rychlej.

Próba sił prędzej czy później nas czeka.

Murmańczyk.

Do poety.

Chodziłeś jako wódz — i chodzić miałeś prawo —
Gdy w arsenałach naszych kajdany były i knuty.
Chodziłeś jako kapłan — i chodzić miałeś prawo —
Gdy domy Ojców naszych domami były pokuty.

Chodziłeś jako lekarz — i chodzić miałeś prawo —
Gdy ciała synaczków naszych z kibitek brano na mary.
Chodziłeś jako prorok — i chodzić miałeś prawo —
Gdy wiarę traciła nadzieja, nadzieję miłość bez wiary.

Chodziłeś jako Duch Boży — i chodzić miałeś prawo —
Gdy ciemność była nad przepaścią, jak na początku stworzenia.
Chodziłeś jako Zbawiciel — i chodzić miałeś prawo —
Gdy w siódmach trzeźwych obliczeń konając krzepły sumienia.

Chodziłeś jako Paraklet. — Na czele! Wszędzie na czele!
I miałeś prawo pocieszać, że z pieśni wstaną mściciele:
Że kędy niema balsamu, ni stuły, ani oręża,
Tam słowo czynem się staje: leczy, rozgrzesza, zwycięża,

Ale dziś — gdy naród żywy,
a szaleństwem nie rażony,
sam odpowiada za siebie:
za pełzania i porywy,
bo sam wskrzesza i sam grzebie
swoje ołtarze i trony —
dziś, poeto, zwalnij biegu
i bez tonsury, bez buławy,
bez gwiazdki na epolecie
marsz do poetów szeregu,
albowiem tamte wszystkie sprawy
już nie przystoją poecie,
którego szarzę i rolę
oznacza gwiazda — na czole!

W jej świetle masz dniem i nocą
widzieć kto, co, jak i poco!
I czy naród służy chwale,
czy ku własnej hańbie kroczy,
ty masz śmiało i wytrwale
mówić mu prawdę prosto w oczy.

Bo dziś Ojczyzna to nie kraty,
nie przytulisko dla nędzarzy,
ale szmat ziemi przebogaty,
gdzie złota wolność gospodarzy.
Niechaj więc kapłan grzech rozgrzesza,
niechaj do boju wódz zagrzewa,
a niechaj w liry zbrojna rzesza
patrzy i naród swój — opiewa!

Wówczas pieśń twoja, o poeto, w Duchu i w Prawdzie się odnowi
i, co jest z Boga, odda Bogu, a co z narodu — narodowi.

K. H. Rostworowski.

Polska w kręgu dzisiejszej polityki światowej.

II.

Przejdźmy teraz do Anglii, która się ze swego położenia wyspowego jak gdyby przez okno na Europę patrzy. Jeżeli w pewnym okresie dziejowym polityka państw europejskich jej interesom nie zagraża, to się z aktywniej polityki europejskiej wycofuje, zadowalniając się rolą obserwatora. Nazwano to: „splendid isolation“. O ile jednak jej interesy mogą być zagrożone, to wkracza dyplomatycznie, a nawet zbrojnie. Tak uczyniła dla obalenia Napoleona, we wojnie krymskiej, po pokoju w San Stefano, we wojnie światowej. Niemcy przedwojenne, monarchiczne zaczęły, powiększając coraz bardziej swą flotę, Anglii w samej ojczyźnie zagrażać, nie mówiąc o próbie ubiegnięcia Anglii na dalekim wschodzie zapomocą kolei bagdadzkiej, tworzącej krótszą drogę do linii południowej od drogi przez Suez. Dla zapobieżenia tej groźbie Anglja się czynnie we wojnę światową wdała. Niemcy dzisiejsze, bez silnej floty, już nie są dla wysp brytyjskich tak groźne, a zresztą zabezpieczyła sobie Wielka Brytania swój dalszy obszar bezpieczeństwa tj. Ren w pakcie gwarancyjnym reńskim. Czuje się więc ze strony Niemiec w samej swej ojczyźnie względnie bezpieczną. Jej polityce światowej się dzisiejsze Niemcy nie przeciwstawiają, nie mając ani kolonii, ani odpowiedniej floty wojennej.

Rosja samym wyspom brytyjskim poważnie zagrażać nie może. Rosja ma wprawdzie tendencję, by się nazad do portów bałtyckich w Inflantach dostać, ale to Anglii głębiej niewzrusza. Miałoby to nawet dla niej tę korzyść, że odwróciłoby chwilowo uwagę Rosji od Azji. Żądanie Rosji, by jej Rumunja Besarabję zwróciła nie idzie napewno po linii angielskiej. Angielska polityka szła i pójdzie zawsze w kierunku niedopuszczenia Rosji do Konstantynopola i cieśnin. Ta polityka będzie może dziś trudniejszą, niż przed wojną światową, bo Rosja już nie ma tego antagonisty na Bałkanie, którym była stale Austrija. Ale ostatecznie Besarabja Rosję wprawdzie do cieśnin zbliża, ale jeszcze o panowaniu nad nimi nie stanowi.

Zato zaostrzają się coraz bardziej antagonizmy rosyjsko-angielskie w południowej Azji, skąd Rosja dąży do wyparcia wpływów angielskich. Anglja ma szczególnie w Chinach trudności, by się przeciw tej agresywnej polityce bronić. W jej interesie leży, żeby uwagę Rosji ze wschodu na zachód odciągnąć. To mogą tylko zachodni sąsiedzi Rosji uczynić, szczególnie Polska. Tu zarysowuje się rola Polski w antagonizmie angielsko-rosyjskim. Leżałoby w interesie Anglii, aby Polska stała politycznym frontem na wschód, uprawiając bezwarunkowo ugodową politykę w stosunku do Niemiec. Zabrawszy Niemcom

kolonie, trudno zresztą Anglii prowadzić politykę zagradzania Niemcom ekspansji na wschód.

W stosunkach angielsko-francuskich leży naturalnie w interesie Anglii, aby Francja Niemcom na Renie siłę pokazywała — jest to równocześnie zabezpieczeniem wysp brytyjskich — ale z drugiej strony nie trzeba zapominać, że na terenie polityki światowej jest dzisiaj — po wyłączeniu Niemiec — Francja główną rywalką Anglii. Z pewną zazdrością patrzy się Anglja na jej usadowienie w Syrii, nie dosyć daleko kanału sueskiego, najważniejszego obiektu angielskiego na drodze do Indji.

Przejdźmy do Francji. Francja ma dzisiaj tylko o tyle sprzeczne interesy z Rosją, że jej Rosja swych długów spłacać nie chce. To jednak nie są powody, któreby mogły na całej polityce zważyć. Zato niebezpieczeństwo niemieckie jest dla niej o wiele bliższe, niż dla Anglii. Bo niema tego zabezpieczenia wyspowego, którem się cieszy Anglja. Mimo pakt reński jest więc duża część społeczeństwa francuskiego zaniepokojona poważnie odbudową Niemiec. Oprócz zabezpieczenia nad Renem chce mieć Francja drugie ubezpieczenie nad Wisłą. Dlatego zawarła z nami specjalny traktat gwarancyjny. Francja wie, że agresywność polityki niemieckiej pójdzie w pierwszym rzędzie w kierunku Polski; w jej interesie więc leży stanięcie Polski politycznym frontem na zachód, przy prowadzeniu ugodowej polityki z Rosją na wschodzie.

Pozostają Włochy. Ich antagonizm z Niemcami wyrósłby dopiero w razie przyłączenia Austrii do Niemiec i utworzenia wspólnej granicy włosko-niemieckiej. Także z Rosją nie mają Włochy większych płaszczyzn tarcia. Ich antagonizm na tle polityki afrykańskiej z Francją ściąga wprawdzie nieco uwagę tej ostatniej, na południe, na morze Śródziemne i jego wybrzeża, zmuszając ją do pewnego rozdzielenia swej czujności, na północ i południe, ale ten antagonizm nie daje się na razie silniej na naszym obszarze odczuwać. To samo dotyczy interesów włosko-angielskich.

To jest bardzo ogólnikowy zarys zasadniczych interesów światowych, o ile się na naszym terenie odbijają. Mnóstwo drugorzędnych interesów, często zmieniających się, jest w nie wplątanych. Takie wpływy międzynarodowej finansjery, uprawiającej poufnie swoją własną politykę, dają się często odczuwać. Ona pracuje zwyczajnie dla tej strony, po której więcej pieniędzy zaangażowała, a angażuje pieniądze po stronie silniejszej. Jeszcze Polska nie stąpa dość pewnie, aby być u niej w łaskach.

Nie może być celem niniejszego artykułu, szukać recepty dla naszego postępowania w obecnej chwili. Byłoby to także dyletantyzmem. Bo do tego jest potrzebną o wiele dokładniejszą znajomość zapoczątkowanych rozmów i czynności dyplomatycznych, które ujawnione być nie mogą. Obmyślenie planu działania jest rzeczą rządu. Tu chodzi tylko o to, aby opinia społeczeństwa umiała na podstawie widocznych dla

każdego faktów na terenie międzynarodowym, zdać sobie z tego sprawę, jakie mają one dla nas znaczenie i jakie niebezpieczeństwa kryć mogą. Chodzi dalej o możliwość zdania sobie z tego sprawy, czy nasza polityka jest w danej chwili dość jasną, celową, niezależną i energiczną. lub w razie wątpliwości o możliwość osiągnięcia przez reprezentację narodu bliższych szczegółów od rządu. Chodzi przecież w tych rzeczach o najważniejszy nasz interes, bo o nasz byt niezależny.

Lecz to, co się do publicznej wiadomości dostało wystarczy żeby sobie w ogólnych zarysach zdać sprawę, jaka polityka byłaby dla nas szkodliwą.

Wiemy, że musimy się przede wszystkim agresywności od zachodu obawiać, która do konfliktu doprowadzić może. Dopiero ten konflikt na zachodzie mógłby się na wschód rozszerzyć. Pierwotne zażewie mieści się więc obecnie na zachodzie. W takiej sytuacji nie możemy naszego politycznego frontu zwracać na wschód, bez dostatecznego zabezpieczenia naszych tyłów na zachodzie. To by wprost prowokowało agresywność niemiecką. Ani układy locarneńskie, ani sam pakt Ligi Narodów by nam zachodu dostatecznie nie zabezpieczał. Anglja nie zobowiązała się do przysłania nam swej floty na Bałtyk. Sam traktat gwarancyjny z naszą wierną sojuszniczką Francją nie pozwala nam jeszcze stać frontem na wschód i odwracać się politycznie od niebezpieczeństwa niemieckiego.

Musimy więc w obecnej chwili zwrócić wyraźnie nasz front polityczny ku zachodowi, starając się o ile możliwości o polityczne zabezpieczenie naszych tyłów na wschodzie. W każdym razie musimy przede wszystkim pierwotnego zażewia konfliktu, więc zachodu wprost strzec, bo jeżeli to zażewie ogniem nie wybuchnie, to i drugie wschodnie się nie zajmie.

Sytuacja wymaga bardzo energicznej, aktywnej, niezależnej polityki tak na terenie Ligi narodów, jak też w zakresie Rady Ambasadorów, jak wreszcie w stosunkach z naszym wschodnim sąsiadem. Nie jest to chwila, by się oglądać, czy nasza polityka wszystkim dogadza, by zostać biernymi lub siedzieć na dwóch stołkach.

W tej tak dla nas ważnej sprawie będzie z pewnością całe społeczeństwo popierało dążenia rządu, bez względu na różnicę stronnictwa, jeżeli widzieć będzie celowy, konkretny plan działania i energję, oraz niezależność w jego przeprowadzeniu. Lecz tego żądać musi, bo nie ma czasu do stracenia.

w. r.

Konserwatyzm a nacjonalizm.

Żywioty praworządne w Polsce nauczone majowem doświadczeniem, szeregują się do wspólnej akcji pod dwoma głównymi sztandarami: na jednym widnieje hasło „nacjonalizm“ na drugim — „konserwatyzm“. Są podobno ludzie dla których te hasła mają znaczenie identyczne: dobry narodowiec test zarazem dobrym zachowawcą i naodwrot. Tak byłoby w istocie, gdyby wszystkie walory naszej kultury i bytu politycznego nadawały się jedynie do zakonserwowania; przeciwnie, gdyby nie groził z nikąd radykalizm, gdyby można było spokojnie przystosowywać się do naturalnego tempa ewolucji, to dobry narodowiec byłby w połowie zachowawcą — i postępowcem. Skoro jednak radykalizm bije w nas ostrym wschodnim wichrem — to trzeba przyznać, że polityka narodowa przeważnie, może w 1/4 częściach lub może w jeszcze wyższym stosunku musi być przepojona konserwatyzmem. Tożsamości ideowej tu jednak niema i być nie może. Idee konserwatywne i narodowe walczą o rząd nad duszami; ich zwolennicy wobec wspólnego wroga mogą tworzyć wspólny front, ożywiony mniej lub więcej wspólną ideologją, mogą również, pod wpływem ubocznych tendencji, nawzajem siebie wykluczać. Dowodem pierwszej możliwości — artykuły „Warszawianki“, zwłaszcza niedawne jej rozważania pt. „Konserwatyzm a nacjonalizm“ podsygnowane inicjałami Z. Ż.; przykładów walki z nacjonalizmem dostarcza krakowsko-konserwatywny „Czas“. Jeżeli prawdą jest, że te dwa odłamy prawicy społecznej, t. j. Stronnictwo Narodowo-Chrześcijańskie oraz t. zw. Prawica Narodowa, pertraktują o ścisły sojusz, to może nie od rzeczy będzie nasz głos w dyskusji nad stosunkiem konserwatyzmu a nacjonalizmu.

Czytelnicy „Trybuny“ wiedzą czem jest nacjonalizm: jest to dążność do pomnożenia duchowej i materialnej potęgi narodu. Czem jest konserwatyzm, o tem nas poucza, według swego rozumienia, prof. Stanisław Estreicher w wigilijnym numerze „Czasu“.

Okazuje się, że ten kierunek określać można dwójako. Polityka konserwatywna broni pewnych historycznie wyrobionych podstaw życia społecznego: etyki religijnej i organizacji kościelnej, kultury narodowej, silnej władzy państwowej, mocnej rodziny, własności prywatnej, różnych związków społecznych. Według innego zapatrywania istotą konserwatyzmu jest nietyle bronienie tradycyjnych podstaw życia społecznego, ile raczej pilnowanie, aby użytkować teraźniejsze formy, instniejącą tradycję przy twórzemu nowych form dla nowych potrzeb. „Różnica między obu koncepcjami jest w praktyce ilościowa, nie jakościowa“.

Zdawałoby się, że ten drugi konserwatyzm różni się od pierwszego bardzo istotnie: dotychczas tworzenie nowych form na dawnej podstawie nazywało się postępowem — w przeciwieństwie do radykalizmu, który polega na negacji i burzeniu starych podstaw. Gdyby konserwatyzm odpowiadał tylko owej drugiej koncepcji, to między postępowcem i zachowawcą nie byłoby żadnej różnicy. Postępowiec także rozumie, że życie społeczne stanowi splot podobny do organizmu, i też uważa jednostkę za „atom odpowiedzialny i swobodny“, i także przystosowuje ustrój rodziwy do „nowych potrzeb“, i również pragnie formy państwowej, zabezpieczającej państwo od anarchji. Gdyby się posprzeczało o „metafizyczny cel bytu“ lub o sakralny charakter małżeństwa, to jeszcze możnaby ich pogodzić, nawet niezależnie od tego, czy obaj uznają istnie-

Wieniec-Pszczółka

Najstarsze pismo ludowe w Małopolsce, założone przez śp. Ks. Stanisława Stojalskiego, 52-gi rok wydawnictwa. Prenumerata kwartalna 2 Złote. Adres: KRAKÓW, RYNEK GŁÓWNY Nr 6.

Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!!

nie nowych potrzeb. Bo trzeba wiedzieć, jakie to potrzeby zgłaszają się czasem do konserwatysty, i jakim doń mówią językiem. Jedne powiadają: należałoby „usunąć to wszystko, co jednostce przeszkadza się doskonalić, co jest niezgodne z etyką z poczuciem sprawiedliwości i równości wszystkich członków społeczeństwa w obliczu celu ostatecznego“. Konserwatysta wnika w to rozumowanie, dostrzega obok „podstaw tradycyjnych“ podstawy nowopowstające, więc z m i e n i a zasadę w imię pewnych wyższych kryteriów. Mówiąc inaczej: zamienia się, choćby częściowo, w postępowca. Inne „potrzeby“ nie wdają się w gawędę o etyce i doskonałości, nie apelują do wspólnych zasad tylko mówią: ustąp, jeżeli chcesz uratować choć cząstkę swoich wartości, bo inaczej przyjdzie za mną radykalizm i rewolucja, która z ramienia Opatrzności wstrząśnie twoim spróchniałym gmachem!“ Cóż ma zrobić konserwatysta? Chowa w kąt uświęcone zasady, metafizyczne cele, historyczne podstawy — i „przystosowuje się do potrzeb chwili bieżącej. Inaczej mówiąc: z konserwatysty staje oportunista.

W wykładzie „Czasu“ te odstępstwa od bezwzględnego konserwatyzmu zlewają się w jedną całość; my pozwolibyśmy sobie odróżnić jaskrawo przystowanie zasad do nowych potrzeb całego społeczeństwa, czyli umiarkowany postęp od przekreślenia zasad dla miłej zgody z zaczepnym radykalizmem, które ostatecznie polega na kompromisie między egoistyczną potrzebą panów wczorajszych — i jutrzejszych. Trudno się dziwić „Czasowi“, że dopuszcza w polityce obie kategorie ustępstw: bez postępu nie masz życia społecznego, a bez oportunizmu podobno niema polityki. Ale dlaczego na tym ma polegać prawdziwy konserwatyzm? Dlaczego zachowawcom, którzy nie tchórzą przed radykalizmem i rewolucją, i nie chcą wbrew przekonaniu paktować z brutalnym egoizmem „nowych potrzeb“ odmawia się „rozumu, talentu i poczucia uczciwości“? O tem zapewne dużo dyskusji będzie na zjazdach zachowawców.

Dla nas nie ulega żadnej wątpliwości, że tak pojętą istotę konserwatyzmu „Czas“ widzi w tym obozie, którego apologję i niemal apoteozę wygłosił dr. Jan Bobrzyński na organizacyjnym zebraniu Prawicy Narodowej w Warszawie dnia 19 list. ub. roku, mianowicie w krakowskiej szkole konserwatywnej. Ona to od pół wieku zachowała swój program „w stanie czystym, bez zboczeń i egoistycznych spekulacji, ona jedna stosuje „metodę historycznego rachunku sumienia“ tudzież „ściśle obiektywny sposób oceny i traktowania spraw“ nie dogadzając wcale „korzyściom sfery czy grupy z której się dane stronnictwo rekrutuje“; ona ma prawdziwy państwowy punkt widzenia w polityce“, dopiero „prawdziwy a realny postęp“, jest stronnictwem na wskroś patriotycznym, bez zastrzeżeń lub przesłanek partyjnych czy klasowych“ — i t. d. Kiedy inne stronnictwa uznają tylko ten rząd, w którym biorą udział i tylko taką ojczyznę, którą mogą ukształtować na swoją modłę — Stańczyk, zdaniem mówcy, popiera każdy rząd bez względu na jego partyjne zabarwienie, jeżeli ów rząd działa według zasad zgodnych z podstawowymi pojęciami patriotycznymi i religijnymi każdego Polaka“.

I ten wysoki poziom polityki osiągnięto według prostej recepty: obrona tradycyjnych podstaw miarkowana postępowaniem i oportunizmem. Jakim postępowaniem — w imię jakiego dobra? Poprostu w imię doskonalenia jednostek, etyki, równości, sprawiedliwości. Innych sprawdzianów nie uwzględniono. Pielęgnujemy taki

właśnie rozumny, humanitarny konserwatyzm w dalszym ciągu — mówią Stańczycy do innych zachowawców w Warszawie, Łodzi, Katowicach — a Polska dobrze na tem wyjdzie.

Polska? Pocóżmy tu przemycili ten demagogiczny wyraz? Wszak „Prezes“ z „Wyzwolenia“ (Wyspiańskiego) zabronił nadewszystko wzywania imienia Polski? Wszak jego uczeń, redaktor „Czasu“, w swym artykule osiągnął rekord humanitarno-zachowawczego stylu, unikając już nie tylko wyrazu Polska, ale nawet terminu: „naród“! Społeczeństwo, społeczeństwo, społeczeństwo, deklamuje przez wszystkie przypadki, uznaje nad niem rząd, przyznaje społeczeństwu byt przez szereg pokoleń, ceni „jedność narodową“, jeżeli ją dane społeczeństwo ma, ale ostatecznie jądrem, podmiotem, przedmiotem, celem i środkiem konserwatywnej polityki jest społeczeństwo. Narodu niema! Minał wiek XIX, ludy w Europie awansowały na narody, do prawa publicznego weszło pojęcie mniejszości narodowych, powstała nawet Liga Narodów, tylko w konserwatywnym systemie myślenia pojęcie i nazwa narodu znalazły się na indeksie. Można przystosowywać kanon zachowawczy do różnych potrzeb indywidualnych i społecznych, tylko dla dobra narodu jako całości ustępstw czynić się nie godzi, bo byłoby to nacjonalizmem, fanatyzmem, szowinizmem. Można szanować w obrębie państwa związki lokalne, stanowe, zawodowe — tylko naród w państwie powinien o sobie zapomnieć!

Oto pozytywna nauka, którą z kunsztownych przemilczeń „Czasu“ powinni wyczytać inni zachowawcy...

— Aha powie nato Stańczyk — znów próbujecie krytykować nasz konserwatyzm, znów podszywacie się pod hasła konserwatywne, jako ów „ktoś trzeci, w którego interesie było zawsze nie dopuścić do połączenia żywiołów zachowawczych“ (słowa Zdz. hr. Tarnowskiego). Bynajmniej Mości Panowie. Obóz narodowy nigdy nie zazdrościł nikomu firmy konserwatywnej. Swego stosunku do zagadnień ustrojowych i kulturalnych nie ubiera on w szatę starych odwiecznych „tradycyjnych podstaw“, które się następnie przykrawa dla dorywczych nowych potrzeb — i dla jeszcze nowszych paktów oportunistycznych. Ów obóz także uczy się z historii, ceni tradycję, rozumie organiczny charakter społeczeństwa, ale uważając naród za jestestwo żywe i rzeczywiste, przytem dostojne i najwyższe, a nie za jakąś wstydliwą, smutną konieczność, o której się milczy, uzależnia swą gotowość do reform nie do interesów jednostki, nie od nieokreślonej jakiejś „etyki“, nie od poczucia sprawiedliwości i równości — dla których zresztą konserwatyści niezbyt wiele zrobili, ale od tego, czy dana reforma wyjdzie narodowi na zdrowie. Czy chcemy przez to powiedzieć, że konserwatyzm krakowski narzucający się dziś na mistrza wszystkim zachowawcom, jest głuchy na potrzeby całego narodu? Nie tak źle nie jest. Naród to jest możny i sprytny pan. Potrafi on używać do swoich celów nawet tych polityków lub publicystów, którzy wbrew naturze wykreślają samą nazwę „narodu“ ze swego stronnictwa, a bałamucając się uniwersalistycznie, wszechludzko, paneuropejsko, wolnościowo, równościowo, i jak tam jeszcze snobizm dzisiejszy zaleca.

W przeciwnieństwie do publicystów „Czasu“, którzy radziby wykorzenieć z Polski wszelki nacjonalizm, my narodowcy ani nie zazdrościmy nikomu hasła zachowawczych, ani ich nie mamy za złe. Nie sądzimy, by cała kultura i gospodarka Polski dzisiejszej z analfabetyzmem, fetysyzmem, bezrobociem, groszobrakiem, z bolszewickimi skłonnościami niektórych ubogich,

i bezduszością wielu bogatych, z szesnastogodzinnem próżnowaniem, z wadliwą konstytucją, niedołązną biurokracją nadawała się do prostego zakonserwowania. Trzeba bądź co bądź przyznać, że gdzie grasuje radykalizm, tam musi być miejsce nie tylko dla konserwatyzmu (który stanowi pendant do postępu, ale nawet dla reakcji, gdzie przemawia Moraczewski, niechaj ma głos i Mysztowicz. Jeżeli pionierzy konserwatyzmu potrafiają jakimś zaklęciem zachowawczem obudzić i skłonić do pracy politycznej te koła, do których nie miał dostępu nacjonalizm, to tem lepiej.

Ale jeżeli ktoś mniema, że już teraz trzeba i można zlikwidować prąd nacjonalistyczny w Polsce, oraz przestroić na ton konserwatywny te miliony, które pięć lat temu głosowały na ósemkę, to taki ktoś marzy o kiepskiem uszczęśliwieniu ojczyzny. Dużo rzeczy musi się zmienić i na wsi i w mieście, zanim połowa społeczeństwa będzie tak zadowolona ze swego stanu, jak zadowoleni są wyborcy Baldwina i Chamberlaina. Kto tego nie rozumie — ten marzy. I wiele światła, oraz patriotyzmu musi wsiąknąć w dusze polskie, zanim przeciętny Polak stanie się takim organicznym, wysokoprocentowym narodowcem, jakim był do ostatnich czasów angielski torys lub wig. Dopiero wówczas, gdy nacjonalizm z doktryny ideowej przejdzie w ciało i krew narodu polskiego, zbierzemy się wszyscy endecy i chadecy, ludowcy i „Prawica Narodowa“, chaeni i enperowcy, przy jednym stole, i może podzielimy się na narodowych zachowawców i narodowych postępówców.

Władysław Konopczyński.

Na dolnym pokładzie okrętu transatlantyckiego.

(Kilka wspomnień z podróży).

— A więc Pan życzy sobie koniecznie zwiedzić 3-cią klasę naszego statku i zobaczyć Polaków-emigrantów? Zapewniam Pana, że jest tam wszystko w najlepszym porządku i że pański trud jest zbędny; lepiej przecież posłuchać naszej doskonałej muzyki i zobaczyć nowe toalety Amerykanek wracających z Paryża. Właśnie na górnym pokładzie rozpoczyna się dancin.

Taką odpowiedź otrzymałem, gdy we wrześniu z. r. znalazłem się na wielkim statku transatlantyckim. B., idącym z Antwerpii do Nowego Yorku, zwróciłem się do kapitana ponownie z moją prośbą.

Przeszedłszy labirynt schodów wąskich i krętych i nachwaliwszy do syta wszystkie cuda techniczne, jakie nie omieszkiał pokazać mi we wnętrzu nowoczesnego statku transatlantyckiego oficer mój przewodnik, znalazłem się niespodziewanie w niskiej, jasno oświetlonej sali, gdzie przy czysto zasłanym obrusami stołach siedziały grupki osób, ściśle od siebie oddzielone. Na jedną z nich wskazał oficer mówiąc:

— „Oto pańscy rodacy“.

W taki sposób zetknąłem się po raz pierwszy z jednym z okrucichów wielkiej fali emigracyjnej polskiej, która od wielu dziesiątków lat jest stałym składnikiem każdego „prawie“ okrętu opuszczającego brzegi starej Europy.

Pierwszy rzut oka na zgromadzonych przy obiedzie Polaków przekonał mnie, że grupa ta złożona z niespełna 40 osób nie przedstawia czegoś jednolitego, co by można nazwać poprostu emigrantami. Z jednej strony „polskiego“ stołu siedziała grupa dzieci i kobiet, obok nich kilku starszych gospodarzy wiejskich i paru ro-

botników wiejskich. całą zaś drugą stronę zajmowali emigranci żydzi, wśród których pośrodku siedział pełen godności starz żyd, typ żyda z Kazimierza lub Nalewek. Za jego plecami w usługowej postawie stał kucharz w biele w wysokiej czapce płóciennej, rysami swemi zdradzający odrazu przynależność do tej samej rasy. Obok niego stał za plecami dostojnika jakiś pan, w mundurze służby okrętowej. Obydwaj starali się na wyścięgi spełniać wszystkie życzenia godnie prezentującego się przedstawiciela narodu wybranego.

Kucharz był kucharzem koszernym, gotującym specjalną strawę dla żydów emigrantów, ów pan w mundurze, także żydek, był tłumaczem i opiekunem oficjalnym polskich emigrantów na okręcie. Gdy chciałem wdać się w rozmowę z tą grupką mniejszościową, okazało się, że patriarcha jest kupcem z Łodzi i że nie umie słowa po polsku, choć całe życie nie opuszczał Polski. To odkrycie nie zdziwiło mnie zresztą zbyt, gdyż sobie przypomniałem, że w jednym z małopolskich miasteczek spotkałem już raz takiego autochtona, bogatego kupca, prowadzącego rozległe interesy, który z największym trudem rozmawiał ze mną po polsku.

Grupa rzeczywiście polska przedstawiała dziwną mieszaninę: dzieci samotnie jadące do rodziców żyjących za oceanem, kobiety jadące do mężów i dalszej rodziny i kilku bywalców-robotników, którzy jechali do Ameryki po dolary już po raz piąty lub szósty. Ci czuli się na okręcie jak u siebie w domu, chwalili jadło, czystość i opiekę i sami sobie wystarczali. Inni snutni, przygnębieni, zmaltretowani jazłą matry: słałkiem do Cherbourg, zanknięci w sobie i niepewni przyszłości, popłakujący za krajem i bliskim, którzy opuścili dając na emigrację za chlebem.

Chociaż nie szczędziłem czasu i starań, nie umiałem w ciągu całej podróży morskiej, t. j. w ciągu 10-ciu dni znaleźć sposobu, któryby mi pozwolił wniknąć głębiej w dusze emigrantów polskich. Po za garścią wiadomości rodzinnych, kilku skarg na zły los i nieśmiało wyrażanych nadziei lepszego jutra — niczego wydobyc od nich nie mogłem.

Przed opuszczeniem statku w Nowym Jorku interwenjowałem u kapitana w sprawie potrzeby usunięcia z okrętu żydowskiej opieki nad polskimi emigrantami, na co w odpowiedzi otrzymałem zapewnienie, że ten właśnie tłumacz (z trudnością mówił po polsku) jest bardzo lubiany przez wszystkich i że zresztą postara się uczynić zadość mojemu życzeniu. Po opuszczeniu statku raz jeszcze rzuciłem okiem i pożegnałem szarą grupkę polską, która skupiona na pokładzie oczekiwała załatwienia formalności paszportowych przed wpuszczeniem jej na ląd kraju wolności, a potem z pewnością rozprószyła się po olbrzymich przestrzeniach Stanów Zjednoczonych, wlewając w żyły naszej zamorskiej emigracji kroplę nowej, krwi, której tak bardzo potrzebują nasze puste kresy, a którą tak szczerze obdarzamy innych, silniejszych od nas.

* * *

Stanawszy na lądzie amerykańskim wpadłem odrazu w wir pracy i zajęć fachowych, dla których tutaj przybyłem. Tylko okolicznościowo i rzadko stykałem się z Polakami. W konsulatach polskich widziałem rzetelną pracę i zetknąłem się z szeregiem tegich ludzi i ci dali mi nie jedną wskazówkę i podzielili się ze mną nie jednym spostrzeżeniem dotyczącem życia Polaków w Ameryce.

W małej mieścinie I. spotkałem przypadkiem Polaka ze Lwowa, restauratora, wspominającego z łzą w oku lwi gród, lecz posiadającego zarazem starsze dzieci nie mówiące po polsku. Przejeżdżając przez Filadelfję słyszałem wiele dobrych i krzepiących wiadomości o wystawie polskiej, jaka właśnie tam została otwarta. W Nowym Jorku opowiadano mi m. i. o czterech tysiącach farmerów polskich, osiadłych na Long Island, którzy pracowitością swoją i umiejętnością hodowli jarzyn i tytoniu wyprzedają wszystkich i wzbudzają wśród innych osadników, zwłaszcza niemieckich, zawiść, zwyciężanych w konkurencji pracy współzawodników. W okolicy Buffalo i Chicago widziałem przez okna ekspresu transkontynentalnego w wielu miejscach wioski polskie, skupiające się w okół kościołów przeniesionych jakgdyby żywcem z okolicy Krakowa...

Wszystkie te i wiele innych spraw i rzeczy polskich, o które otarłem się jakgdyby mimochodem w Stanach Zjednoczonych, dały mi w rezultacie tylko garść wrażeń subiektywnych, na poły smutnych na poły wesołych i krzepiących — lecz nie na tyle pewnych i dojrzałych w ich ocenie, abym ważył dzielić się niemi z czytelnikami.

* * *

Pewnego dnia, przy końcu września stałem znów na pokładzie okrętu, tym razem linii skandynawsko-amerykańskiej i zegnałem Nowy Świat, przy dźwiękach jakiegoś dzikiego tańca, który zapamiętała wygrywała kapela okrętowa, otoczona parami tańczących pasażerów I-szej klasy.

Skoro tylko we mgle oddalenia zniknęła z przed moich oczu sylweta posagu wolności, o której złośliwi mówią, że trzyma w podniesionych dłoniach podobiznę dolara, miałem po raz drugi przyjemność prowadzenia rozmowy z kapitanem okrętu w sprawie polskich reemigrantów, która była w toż była taką samą jak pierwsza w tej materji na okręcie B.

Także i tym razem musiałem zwiedzić wszystkie wspaniałości okrętu i dopiero za cenę moich (szczerych zresztą) pochwał i zachwytów dopuszczono mnie do polskiej grupy, umieszczonej na spodzie olbrzymiego statku.

Było ich z górą 80 osób, samych prawie Polaków; paru tylko było Rusinów i jeden Białorusin. Żydów w tej fali powrotnej wprawdzie nie było zupełnie, lecz w klasie II-giej kryła się jakaś osobistość, którą nasi emigranci nazywali „bolszewikiem“; na równi z nimi unikałem z tym obywatelem Polski zetknięcia, co mnie zresztą przy końcu podróży pozbawiło pewnych przywilejów należnych mi, z tytułu mego charakteru urzędowego.

Tym razem zastałem reemigrantów do Polski na średnim pokładzie przy zabawie. Wszyscy (z wyjątkiem paru niewiast składających daninę wzburzonemu morzu w zamkniętych kabinach) zdrowi, weseli i dobrze odziani, tworzyli barwne grupy w kilku punktach pokładu. W ich języku polskim zrzadka tylko padał jakiś makaronizm angielski lub pseudoangielski, nabyty w zamorskim kraju i to tylko wtedy, gdy rozmawiali o rzeczach fachowych, dotyczących pracy w fabrykach lub kopalniach. Ogromną większość tworzyli bowiem robotnicy fabryczni, rzemieślnicy i górnicy.

Zacząłem z nimi pierwszą rozmowę, zapytując o Amerykę. Wywiązała się dłuższa rozprawa, w której każdy prawie miał coś do powiedzenia ciekawego i dowodzącego samodzielnego sadu o rzeczach i sprawach Stanów Zjednoczonych. Wszyscy jednak, bez wyjątku, t. zn. zarówno ci, którzy spędzili w Ameryce dziesiątki

lat, jak i ci, którzy przebywali tam krócej, wyrażali się o Stanach Zjednoczonych z prawdziwą, głęboko i szczerze odczuwaną wdzięcznością: znaleźli tam pracę, dobre wynagrodzenie za nią i korzystali ze swobody obywatelskiej kraju. Zdumiewającym było dla mnie, że w tych rozmowach o Ameryce ogół naszych reemigrantów, przeważnie ludzi prostych, wykazywał wielką znajomość ustaw państwowych i organizacji społecznych Stanów, każdy prawie orjentował się dobrze w aktualnych sprawach polityki amerykańskiej, wszyscy umieli rozprawiać z przejęciem o osobach kandydatów na Prezydenta przy przyszłych wyborach, — słowem, choć kilku tylko miało obywatelstwo amerykańskie, wszyscy przesiąknięci byli duchem obywatelskim tego kraju.

Tą pierwszą rozmową nawiązane stosunki zacieśniały się pomiędzy nami już nie z dnia na dzień, lecz prosto z godziny na godzinę i zanim jeszcze osiągnęliśmy punkt na oceanie skąd bliżej było do Gdańska aniżeli do Nowego Jorku, byliśmy już starymi znajomymi. Stopniowo w rozmowach naszych z zagadnień osobistych i zagadnień o chlebie — o niego bowiem ci ludzie pracy walczyli całe życie — przeszliśmy na sprawy polskie. Ich zainteresowanie się Polską było wielkie. Zarzucali mnie szeregiem pytań z wszystkich, a zwłaszcza ekonomicznych dziedzin; żądali odpowiedzi ścisłych i pewnych i żalili się zarówno ci „z lewicy“, jak i ci „z prawicy“ (wśród naszego wychodźstwa amerykańskiego istnieje bowiem podobnie drobniagowe różniczkowanie na „partje“ zwalczające się namiętnie, jak w kraju macierzystym) na brak pewnych informacji o Polsce i jej sprawach, na brak opieki i słabość Rządu polskiego; wliczali mi krzywdy jakich doznali ze strony różnych „narodowych“ kwestarzy i różnej konduty dolarodłubków, którzy ich bezwstydnie grabili, mówili z goryczą o aferze „floty polskiej“, o różnego rodzaju oblięciach, pożyczkach, bonach, które kupowali dla Polski, a które zwykle trafiały do prywatnych kieszeni różnych drapieżników. Ale wszystkie tego rodzaju rozmowy kończyły się — rzecz dziwna i zgola dla mnie nieoczekiwana — nie skargą i zwątpieniem w Polskę, lecz wprost przeciwnie wyrazami nadziei, a nawet pewności, że zło minie i że Ojczyzna odrodzona, pracująca i produkująca przyjmie ich wszystkich nie dziś, to jutro do siebie z powrotem. Nawet ci, którzy jechali do Polski tylko na czas krótki z paszportami amerykańskimi, wypowiadali słowa wiary w Polskę mocno i z przekonaniem. Byłem tem zdziwiony i wzruszony i zapytywałem się w duszy siebie samego, czy w zwaśnionej Polsce znalazłbym łatwo taką grupę ludzi różnych stanów i różnych poglądów politycznych, któraby tak zgodnie potrafiła głosić wiarę w Polskę i promieniać tak budującym patriotyzmem.

Weczesnym rankiem 12-go dnia podróży przeniesieni w Kopenhadze na mały stateczek duński, na którym obok duńskich były wszędzie napisy polskie, staliśmy wszyscy zapatrzeni w szarą smugę ładu pomorskiego. Był w grupie naszej Ślązak 70-cio letni, który opuścił Śląsk dzieckiem, a teraz na pół oślepy jechał pod Rybnik, by jak mówił „tam złożyć swe kości“, był organista z miasteczka B. we wschodniej Małopolsce, który już po raz czwarty od czasu odzyskania niepodległości wracał do Polski z nadzieją, że wreszcie uzyska w kraju pracę i będzie mógł w nim pozostać, był biedak na jednym morgu z pod Rzeszowa, z głęboką blizną na twarzy od odłamka żelaza, które ugodziło go w fabryce, który jechał z małą sumką dolarów i marzył na jawie o gruncie, który dokupi i mówił prosto

a wzruszająco o 6-gu dzieci, które pragnie wyżywić i wychować, był siwy Poznaczyk, który kiedyś przed laty uciekł z wojska pruskiego i całe życie pracował jako ogrodnik w Ameryce, a teraz jechał do Poznania i z dziwnym uśmiechem słuchał gdy mu mówił, że Poznań to teraz najbardziej polskie miasto nasze; stali także wśród nas dwaj młodzieniec w pięknych morskich mundurach, jeden absolwent morskiej szkoły w Tezewie, a drugi kończący politechnikę w Gdańsku, a obaj wracający z praktyki morskiej, i jak Conrad marzący o morzach całej ziemi i o cudzie floty polskiej, który ziszczyć się musi; byli także liczni inni, wszyscy już sobie bliscy i ze sobą zbrałani.

Co chwilę padało zapytanie: „Czy to już Polskę widać?“ — Mimo dobrych szkół i jakiejś takiej znajomości brzegu polskiego, nie umiałem długo na to pytanie dać pewnej odpowiedzi. Coś tam w dali błyszczało czasem, niby kopuła kościoła, coś się w tłumach porannych kłębiło i stwarzało fantastyczne majaki niby-miast i wsi, to znów niby puszczy leśnej kąpiącej się w morzu, lub poruszało się niby węże szarych mundurów... Odpowiadałem, że to napewno już polskie Pomorze, ale nie wiem z pewnością czy ono leży już w naszym małeńskim „oknie“, czy też to jeszcze należy do Niemców. A gdy kilka razy z rzędu taką dałem odpowiedź, doszła mnie nagle z za pleców odpowiedź krótka:

— „Psie krwie!“

Choć dokładnie nie wiedziałem do czego ją odnieść należy, była ona widać lepiej zrozumianą przez innych, bo kilka razy ją w tłumie powtórzono.

Nareszcie widzę i poznaję: oto białe plamy piasków pod Karwią. Przyładek Rożewski, Wielka Wieś, Kuźnica i t. d. aż po Hel, na tylnym planie Puck z wyniosłym kościołem; — wszystko to z morza widziane, od Żarnowca po Hel jednym prawie rzutem oka można objąć.

Po godzinie jazdy odsłania się nam widok na zatokę Pucką i budujący się port polski w Gdyni, którego sylwetę zdobi olbrzymi, żelazny elewator z pełnego morza, wyglądający jakgdyby olbrzymia wałka siedząca u brzegu. Wszyscy teraz zarzucają mnie i dwu polskich marynarzy setnemi pytaniami, z dumą patrzą na szeregi statków ładujących w porcie polski węgiel i cieszą się tą najpiękniejszą radością szczęścia nie *swojego*, lecz *naszego*, wspólnego, *łączącego* niby uścisk bratni wszystkich nas powracających na łono ojczyzny.

Technik z Gdańska, urodzony w ziemi wileńskiej, zapowiada śpiewnym głosem rychłe ukazanie się pilota, który pono będzie miał na maszcie flagę z orłem białym. Niebawem sprawdza się jego przepowiednia, gdyż oto z mglistego portu gdańskiego wysuwa się ku nam małeńki stateczek, a choć z urzędującym na nim funkcjonariuszem Rady Portu rozmawia nasz kapitan po niemiecku, ma on w części spłowiałej flagi znak orla białego.

Oglądam się i widzę mojego Poznańczyka wysunętego na sam dziób okrętu z chustką przy oczach...

* * *

Emigracja polska to nie jest rzecz bagatelna, o której wolno mówić na szarym końcu w programach pracy narodowej. Przeciwnie, jest to sprawa żywotna, ogromnie ważna, gdyż chodzi w niej o eksport i import nie martwego drewna, węgla lub rudy, lecz o eksport i import żywej, serdecznej *krwi polskiej*.

W rządzie ważnych spraw, które należy w Polsce ująć w ręce i rozumnie a troskliwie nimi kierować,

a które — wierzymy — obóz wielkiej Polski docenia, leży bezwątpienia także polska emigracja do Ameryki, Francji, Prus i każda inna, gdziekolwiekbądź ona zdąży dzisiaj i w przyszłości zdążyć będzie.

Władysław Szafer.

Dokumenty.

P. Doktorowi Gustawowi Dobrzyńskiemu, nowemu ministrowi W. R. i O. P. poświęcamy.

Komunikat Zarządu Głównego T. N. S. W. ogłoszony w N-rze 36 „Przeglądu Pedagogicznego“.

W lecie b. r. wskutek trwałego nacisku Ministerstwa W. R. i O. P., by tworzyć także na Kresach Wschodnich szkoły po wsiach wyżej zorganizowane, choćby kosztem zbijania szkół jednoklasowych, ówczesny kurator lwowski, śp. Stanisław Sobiński, któremu w ostatnich czasach niejednokrotnie z Ministerstwa W. R. i O. P. nawet telefonicznie czyniono zarzuty „sabotowania zarządzeń Ministerstwa“, widział się zmuszonym zamknąć 46 szkół polskich o małej frekwencji. Ponieważ po wydaniu odpowiedniego zarządzenia z 21 miejscowości napłynęły protesty i prośby o utrzymanie szkółek, przeto kurator Sobiński wstrzymał wykonanie zamknięcia i w myśl obowiązujących przepisów zwrócił się do Ministerstwa z prośbą o utrzymanie ich, podobnie, jak co do szeregu innych szkół, w których liczba dzieci nie dochodziła 40.

Niestety Ministerstwo nie uznało tych argumentów, stojąc na zasadniczym stanowisku dążenia niezależnie od warunków lokalnych do realizacji wyżej zorganizowanej szkoły powszechnej bez względu na to, czy będzie to szkoła polska, utrakwistyczna, czy nawet ruska. W sierpniu nadeszły załatwienia wniosków Kuratorium, polecające, nieraz z dodaniem ostrych wymówek, zamknięcia dalszych 42 szkół polskich, przychem w kilku wypadkach polecono nie stosować przymusu szkolnego, czyli skazać działalność na analfabetyzm; w innych wypadkach skazano dzieci na uczęszczanie do szkół sąsiednich często utrakwistycznych lub ruskich.

Śp. kurator Sobiński zdecydował się przeciwstawić Ministerstwu W. R. i O. P. i wstrzymał wykonanie zamknięcia tych szkół.

W dniu 29 sierpnia odbył się Zjazd Przewodniczących Kół Okręgu Lwowskiego T. N. S. W., na którym obecni omawiali zarządzenia władz szkolnych w ostatnich czasach i podawali przykłady zamykania szkół polskich, a reaktywowania niepolskich w województwach: stanisławowskim, tarnopolskim i wołyńskim. Sprawozdanie z tego zebrania ukazało się w prasie, między innymi w „Kurjerze Warszawskim“ w N-rze z dnia 9 września. W sprawozdaniu tem czytamy:

„Zebrani głównie zajmowali się polityką szkolną i tendencjami Ministerjum Oświaty, które, mimo krótkiego okresu urzędowania obecnego Ministra, zaznaczyły się już zupełnie wyraźnie. Pod hasłem zapewne „sanacji moralnej“ ruguje się zasłużonych i wybitnych pracowników, zwłaszcza ze stanowisk kierowniczych, aby obsadzić je nowymi, nauczycielstwu prawie nieraz nieznanymi ludźmi. Pod hasłem zaś „sprawiedliwości i idei jagiellońskiej“ zamyka się szkoły polskie, a nawet niektóre ufundowane ofiarnością społeczną (Tow. Szkoły Ludowej), posiadające okazałe budynki i ogrody, a działalność polską skazuje się na uczęszczanie do szkół utrakwistycznych lub ruskich“.

Dnia 10 września był śp. Sobiński przyjęty po raz pierwszy przez ówczesnego Ministra W. R. i O. P. i poinformował go o sobie o szkolnictwie kresowym, a w szczególności o wstrzymaniu wykonania zarządzenia ministerjalnego, polecającego zamknąć dalszych 42 szkół polskich. Ze sprawa była i jest jeszcze w toku, świadczą rozmowy telefoniczne i korespondencja między Kuratorium Lwowskim a Ministerstwem W. R. i O. P.

W dniu 23 września p. Minister Antoni Sujkowski przyjął deputata Zarządu Głównego T. N. S. W., w osobach urzędującego wiceprezesa dra E. Łozińskiego, generalnego sekretarza J. Grabowskiego i kol.: R. Mańkowskiego, W. Radziwonowicza i Z. Stankiewicza (p. „Przegląd Ped.“ Nr. 27, str. 738). W czasie posuchania p. Sujkowski, powołując się na wyżej podane sprawozdanie w „Kurjerze Warszawskim“ i zapytawszy, czy Zarząd Główny bierze odpowiedzialność za „oddział lwowski“, po otrzymaniu odpowiedzi potakującej, kilkakrotnie z naciskiem określił wystąpienie Okręgu Lwowskiego, jako „świadomy fałsz, bezczelne łgarstwo i nieuczciwość“. Delegaci, zaprotestowawszy przeciwko tego rodzaju obraźliwym zarzutom, oświadczyli, że podadzą je dosłownie do wiadomości Zarządu Okręgu Lwowskiego.

Zawiadomiony o tem urzędowo Zarząd Okręgu Lwowskiego wysłał za pośrednictwem Zarządu Głównego nast. pismo do p. Ministra Sujkowskiego w dniu 30 września br.

Odpis:

Zarząd Okręgu Lwowskiego T. N. S. W.
ul. Łyczakowska 5.

L. 980. Lwów, 30 września 1926.

Do Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publ.

Antoniego Sujkowskiego

w Warszawie.

Panie Ministrze!

Zarząd Główny Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych powiadomił nas, że Pan, Panie Ministrze, omawiając sprawozdanie ze zjazdu przewodniczących Kół Okręgu Lwowskiego T. N. S. W., drukowane w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 9 września b. r. zrobił nam dwukrotnie zarzut „łgarstwa i nieuczciwości“. Pomijamy formę wystąpienia, która wśród ludzi cywilizowanych jest niepraktykowaną w stosunkach publicznych, zajmujemy się jedynie istotą sprawy. Zestawiamy fakty:

W dniu 7 lipca br. objął Pan godność Ministra W. R. i O. P. i w tem samem przyjął odpowiedzialność za cały ten resort.

W sierpniu, jak wiadomo powszechnie, wyszły z Warszawy pisma Ministerstwa W. R. i O. P., polecające zamknięcie szeregu szkół polskich na terenie Okr. Szkolnego Lwowskiego, których daty i liczby oczywiście znać nie możemy, ale które Pan jako Minister z aktów Dep. I zna, a jeśli nie, to poznać może.

W dniu 29 sierpnia odbył się Zjazd Przewodniczących Kół Okr. naszego, obejmującego województwa: lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie i wołyńskie i reprezentujących 1521 nauczycielstwa zorganizowanego w 50 kołach. Na Zjeździe koledzy nasi z województwa stanisławowskiego, tarnopolskiego i wołyńskiego podali do wiadomości fakty zamykania szkół polskich, a projektów reaktywowania nie polskich. Przyznał to Pan Minister sam, mówiąc do delegacji Zarządu Głównego T. N. S. W. o zwinięciu „46 jednoklasowych szkół powszechnych, zniesionych w Kuratorjum lwowskiem ze względów organizacyjnych“.

9 września ukazało się w dziennikach inkryminowane sprawozdanie.

Twierdzi Pan, Panie ministrze, że wydał „ustne polecenie p. Kuratorowi Sobińskiemu, by nie dopuścił do zamknięcia w przyszłości chociażby jednej szkoły polskiej“. Polecenie to mogło się odbyć najwcześniej dnia 10 września, bo jak stwierdzono w Warszawie, w tym dniu Kurator lwowski był poraz pierwszy przyjęty przez Pana Ministra.

Jak z tego przedstawienia widać, niema tu ani jednego faktu, któryby upoważniał Pana, Panie Ministrze, do postawienia tak ciężkiego zarzutu Organizacji mającej za sobą z górą 40 lat obywatelskiej pracy.

Ponieważ w rozmowie z delegacją T. N. S. W. nie poruszył Pan, Panie Ministrze, żadnych innych szczegółów z naszego posiedzenia, a fakty przytoczone przez nas odpowiadają rzeczywistości, nie zmniejsza ich znaczenia bowiem późniejsze w „21“ wypadkach wycofanie się ani „ustne polecenie“ i to po naszym zebraniu wydane — w myśl jednogłośnie uchwaly Zarządu z dnia 30 września 1926 r. żądamy dostarczenia w przeciągu tygodnia od daty otrzymania niniejszego pisma dostatecznych dowodów dla uzasadnienia swego zarzutu, godzącego w naszą cześć i sumienie obywatelskie

albo

dania nam zadośćuczynienia za krzywdzące i nieuzasadnione, a nadto w tak niebывalej formie uczynione nam zarzuty.

Z prawdziwym żalem i boleścią przychodzi nam prowadzić całą tę sprawę. W naszej historii dotychczasowej mimo, że mieliśmy w wolnej Polsce wiele rządów i ministrów, z którymi bądź to goździliśmy się, bądź różnili, konfliktów tego rodzaju nigdy nie mieliśmy. Zawsze i wszędzie traktowaliśmy się wzajemnie z godnością i szacunkiem. Ufamy też, że i Pan, Panie Ministrze, poznawszy całą sprawę i rozważywszy ją spokojnie i bez uprzedzeń, nie cofnie się przed naprawieniem ciężkiej krzywdy i nie zmusi nas do szukania sprawiedliwości na innej drodze.

Z należnym dla Pana Ministra szacunkiem

(—) Gerard Pola w. r. L. S. prof. dr. Ludwik Jaxa Bykowski
sekretarz przewodniczący

Za zgodność: G. Pola.

W terminie oznaczonym p. Sujkowski, który tymczasem przestał być ministrem, zwrócił Zarządowi Głównemu pismo lwowskie z następującym listem.

W Warszawie, 8 października 1926 roku.

Do Zarządu Głównego Towarzystwa Nauczycieli

Szkół Średnich i Wyższych.

Szanowni panowie!

Nie możemy się porozumieć!

Ja się zwracałem do Szanownych Panów nie w tym celu, aby Sz. Panowie pośredniczyli między mną a Zarządkiem Okr. Lwowskiego T. N. S. W., lecz aby Sz. Panowie w interesie dobrego imienia T. N. S. W. zajęli się zbadaniem sprawy.

Sądziłem, że Sz. Panowie wydelegują swego członka zaufanego, któremu jabym wskazał, do kogo w Ministerjum ma się zwracać, aby całą sprawę poznał gruntownie, a wówczas wypłynęłyby prawda — może i nieznaną we Lwowie, że cała nagonka na mnie żadnej podstawy rzeczowej nie posiadała.

Gdybym chciał oświadczyć do czynienia z Zarządkiem Okr. Lwowskiego T. N. S. W., tobym to załatwił pocztą.

Ponieważ nie myślałem wdawać się w korespondencję z Zarządkiem Okręgu Lwowskiego T. N. S. W., przeto zwracam list L. 980 z dnia 30 września rb. — Jednocześnie muszę uczynić uprzejmą uwagę Szanownym Panom, że pośrednicząc, a nie czyniąc żadnych dochodzeń, Szanowni Panowie nie broniacie Zarządu Okręgu Lwowskiego T. N. S. W.

A. Sujkowski.

Równocześnie p. Sujkowski prywatnie w rozmowie telefonicznej zaproponował Zarządowi Głównemu ustną konferencję w celu bliższego wyjaśnienia sprawy. Na wyżej przytoczony list prof. Sujkowskiego Zarząd Główny odpowiedział pismem z dnia 14 paźdz., stwierdzając, że „ze słów Pana Ministra w czasie audjencji dnia 23 września wcale nie wynikało, jakoby Pan Minister skłonny był dać nam możność zbadania prawdy w Ministerstwie W. R. i O. P.“ i że obecnie gotowi jesteśmy skorzystać z propozycji zbadania sprawy zamykania szkół polskich na Kresach w aktach Ministerstwa W. R. i O. P. Zarząd Główny mimo niebывalej formy wystąpienia prof. Sujkowskiego, pragnąc wyrównania sporu i kierując się szacunkiem dla człowieka, który był polskim Ministrem, zgodził się na ustną konferencję z prof. Sujkowskim, która odbyła się dn. 15 paźdz. w prywatnem mieszkaniu prof. Sujkowskiego.

Delegatowi Towarzystwa kol. E. Łozińskiemu i J. Grabowskiemu prof. Sujkowski przedstawił swój punkt widzenia na omawianą sprawę, a jako dowód swojej słuszności dał odpis listu kuratora Sobińskiego, który w całości przytaczamy:

Odpis z odpisu.

Kuratorjum

Okręgu Szkolnego Lwowskiego

Nr. I. N. 8413/26.

Lwów, dnia 21 września 1926 r.

Przedmiot: Wykaz szkół zwiniętych.

Do Ministerstwa Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego.

Departament Szkolnictwa Powszechnego
(na ręce WPana Władysława Żłobickiego,
Dyrektora Departamentu) w Warszawie.

Na telefoniczne polecenie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zakomunikowane mi przez WP. Naczelnika Bromirskiego w dn. 20 bm. przedkładał dwa wykazy jednoklasowych szkół powszechnych, które z powodu zbyt małej frekwencji zostały już przez Kuratorjum O. S. L. zwinięte, już też przez Ministerstwo wbrew odmiennym wnioskom Kuratorjum O. S. L. przeznaczone zostały do zwinięcia, względnie do skomasowania ze szkołami w sąsiednich miejscowościach.

Wykaz Nr. 1 obejmuje te szkoły w liczbie 46, które zostały zwinięte przez Kuratorjum O. S. L. Z tej liczby zezwoliłem na skutek przedstawień delegacji ludności lub wniesionych rekursów na dalsze pozostawienie szkół w 21 miejscowościach. Z pozostałych 25 miejscowości nie wpłynęły dotychczas żadne sprzeciwy, protesty ani też odwołania w jakiegokolwiek formie.

Wykaz Nr. 2 obejmuje te szkoły, co do których Ministerstwo, nie godząc się na wnioski Kuratorjum O. S. L. o pozostawienie tychże, poleciło ich zwinać, względnie skomasować z innymi lub też rozważyć możliwość połączenia ze szkołami w pobliskich miejscowościach. Takich szkół jest 42. Dotychczas nie wydałem jeszcze żadnych zarządzeń w sprawie skasowania tych szkół, zatem istnieją one nadal jako szkoły czynne, w najbliższym czasie bowiem zamierzam przesłać Ministerstwu ponowne przedstawienie z wnioskiem o pozwolenie na dalsze utrzymanie tych szkół ze względu na ważne momenta społeczno-narodowe.

Okazuje się zatem, że z ogólnej liczby 88 szkół zwiniętych lub też przeznaczonych do zwinięcia reaktywowano szkoły lub też nie wykonano jeszcze zarządzeń kasacyjnych w 63 wypadkach (63 szkół),

pozostało zaś 25 takich zarządzeń kasacyjnych (dla 25 szkół), których nie cofnięto, które zostały zatem w mocy i co do których nie wpłynęły tutaj rekursy.

Kurator Okręgu Szkolnego
Za zgodność: (brak podpisu). (—) Sobiński.

Ponadto powtórzył prof. Sujkowski propozycję przejrzania dotyczących aktów Ministerstwa W. R. i O. P. przez delegatów Twa dla dalszego stwierdzenia słuszności swoich wywodów, względnie wykrzyca, czy ktoś w Ministerstwie bez jego wiedzy nie wydał w tej sprawie jakiegoś zarządzenia.

Jakkolwiek dostarczony przez prof. Sujkowskiego w odpisie list kuratora Sobińskiego potwierdził słuszność stanowiska Okręgu Lwowskiego, stwierdzał bowiem, że Ministerstwo istotnie poleciło zwinięcie 42 szkół, którego to polecenia „ze względu na ważne momenta społeczno-narodowe“ Kuratorjum nie spełniło — Zarząd Główny zgodził się na propozycję prof. Sujkowskiego zbadania aktów i wysłał stosowne pismo. Ponieważ prof. Sujkowski nie zapraszał delegatów, Zarząd Główny pismem z dnia 11 listopada przypomniał mu o jego zobowiązaniu. Na to pismo Zarząd Główny otrzymał od prof. Sujkowskiego 15 listopada telefoniczną odpowiedź, że w Ministerstwie W. R. i O. P. nie zgodzono się na jego propozycję wprowadzenia przedstawicieli T. N. S. W. dla zbadania archiwum, natomiast zaproponowano wydanie urzędowych odpisów aktów, których prof. Sujkowski, lub w porozumieniu z nim Zarząd Gł. T. N. S. W., zażąda.

Wobec takiego postawienia sprawy i odmowy przedstawicielom Zarządu Okręgu Lwowskiego w Kuratorjum Lwowskiem wskazania dat i numerów odnoszących rozporządzeń (które poprzednio w liczbie 3 przedstawiciele Okręgu w Kuratorjum widzieli) — na posiedzeniu Wydziału dnia 22 listopada w obecności wiceprzewodniczącego Zarządu Okręgu Lwowskiego i przewodniczącego Koła Lwowskiego uchwalono wysłać do prof. Sujkowskiego następującą list:

Szanowny Panie Profesorze!

Wobec niedostarczenia przedstawicielom Zarządu Głównego T. N. S. W. przybiecanej przez Szanownego Pana Profesora możliwości zbadania w Ministerstwie W. R. i O. P. dokumentów, mających usprawiedliwić wyrażenia, użyte przez Pana Profesora, jako Ministra W. R. i O. P., a obrażające T. N. S. W., Wydział Zarządu Głównego, po zbadaniu całości sprawy zamykania szkół polskich w Okręgu Szkolnym Lwowskim na swem posiedzeniu w dniu 22 listopada 1926 r., jednomyślnie doszedł do przekonania, że sprawozdanie ze Zjazdu Przewodniczących Kół Okręgu Lwowskiego T. N. S. W., umieszczone w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 9 września 1926 r. nie zawiera faktów niezgodnych z rzeczywistością, a więc zarzut „świadomego fałszu, łgarstwa i nieuczciwości“, postawiony przez Pana, jako Ministra W. R. i O. P., na oficjalnej audjencji w dniu 23 września br. pod adresem Zarządu Okręgowego Lwowskiego — jest całkiem nieuzasadniony. Zarząd Główny T. N. S. W. domaga się przeto od Pana Profesora kategorycznego piśmiennego odwołania powyższego zarzutu w ciągu trzech dni od daty otrzymania pisma niniejszego. W przeciwnym razie Zarząd Główny pozostawia sobie całkowitą swobodę postępowania dalszego w tej sprawie.

Za Zarząd Główny T. N. S. W.

(—) E. Łoziński,
Wiceprzewodniczący.

(—) J. Grabowski,
Sekretarz Generalny.

Na list ten prof. Sujkowski w piśmie z dnia 26 listopada odmówił odwołania postawionego Zarządowi Okręgu Lwowskiego zarzutu „świadomego fałszu, bezcelnego łgarstwa i nieuczciwości“ i powołał się na urzędowe wyjaśnienie sprawy zamykania szkół polskich na Kresach, ogłoszone w Nr. 258 „Monitora Polskiego“.

Na podstawie przytoczonego biegu wypadków z dokładnem stwierdzeniem chronologicznego następstwa, opierając się na cytowanych wyżej dokumentach, każdy nieuprzedzony człowiek musi stwierdzić, że zarzut postawiony Okręgowi Lwowskiemu T. N. S. W. przez prof. Sujkowskiego, wówczas Ministra W. R. i O. P., jest nieuzasadniony i bezpodstawny.

Wobec tego, że prof. Sujkowski nie podjął żadnych kroków celem naprawienia wyrządzonej swem postępowaniem krzywdy, a nawet nie chce, czy nie umie jej wyczuć, równocześnie jednak sam dostarczając dokumentów, potwierdzających fakt wydawania przez Ministerstwo W. R. i O. P. rozporządzeń, zamykających szkoły polskie w Okręgu Szkolnym Lwowskim obala swoje zarzuty i utwierdza stanowisko Okręgu Lwowskiego, uważamy, że prof. Sujkowski nie stanął na poziomie odpowiedzialności za swe postępowanie w tej sprawie i tem samem kończymy, podając ją do wiadomości ogółu członków naszego Towarzystwa.

CZYTELNICY!

PAMIĘTAJCIE O FUNDUSZU PRASOWYM.

Przegląd pism.

Pruszków! Pruszków!

Przy wyborach do samorządu w Pruszkowie komuniści uzyskali 11 mandatów, inne partje polskie 15 mandatów, mniejszości narodowe żadnego, co jest tem charakterystyczniejsze.

Może ten wynik ostudzi trochę te partje dawnej osemki, które odważyły się na przeciwny naturze związek z partjami lewicowymi w sprawie ordynacji wyborczej do samorządów. Z takiego związku urodzić się może tylko potworek.

Pan Adam Głazewski, członek Wielkiej Rady O. W. P. pisze w „Warszawiance“:

Wszak ten wprost niesłychany projekt, przelozony na język praktyczny, wskazuje, iż siłą faktów, wszystkie skrajne lewicowe żywioły, połączą się w głosowaniu z Żydami i Rusinami, a że jest rzeczą notorycznie znaną, iż żywioł żydowski grupuje się w naszych miastach i miasteczkach najsilniej, rezultat pięcioprzymiotnikowego głosowania jest zupełnie pewny.

I oto jesteśmy świadkami, iż projekt takiej ustawy jest uchwalony w Komisji Sejmu Polskiego: i że za nim głosują, horrible dictu, posłowie stronnictw prawicowych, z wyjątkiem Kl. Chrz. Nar.

Wprost na gorzką ironję zakrawa to głosowanie i posłów należących do ugrupowań partji politycznych, których programy wręcz inne głoszą zasady. Lewicowym stronnictwom dziwić się nie mogą, gdyż one wierne głoszonym hasłom bezkrytycznie lub konsekwentnie postępują. Lecz zapytuję, gdzie konsekwencja u posłów prawicowych? Gdzie dbałość o posiadanie stanu narodowego? Gdzie dbałość o wzmocnienie Kresów naszych przez oddanie zarządów naszych miast w ręce polskie? Gdzie tu się można dopatrzeć myśli przewodniej głoszonych hasel?

Projekt taki musi się spotkać z druzgocącą krytyką. Posel Wincenty Witos jeszcze przed kilkunastu dniami, w artykule ogłoszonym w „Ilustrowanym Kurjerze Godziennym“ po zanalizowaniu poszczególnych punktów projektu doszedł do konkluzji następującej:

To też rzuca się na usta pytanie, w imię czego stronnictwa polskie podpalają spokojną dotąd wieś w całej Polsce, dlaczego niszczą jej podstawy gospodarcze, dlaczego wypierają z wielu województw resztę wpływów polskich, dlaczego naoścież otwierają wrota anarchji, a co zatem idzie i bolszewizmowi. Gdzie są te wielkie hasła narodowe głoszone przez nie na wiecach, zebraniach i w prasie, gdzie to wszystko?

Czyż to, co się stało ze Sejmem, co się dzieje w wielu sejmikach na wschodzie wprost już buntujących się przeciw państwu, nie było w stanie otworzyć im oczu? Czy i wyniki wyborów i skandaliczna gospodarka w miastach i miasteczkach b. Królestwa nie dla nich nie mówią?

Innych powodów podobnego postępowania znaleźć u nich nie mogę jak strach przed demagogią lewicową, a ustępstwa przed własną, a cel to chyba nadzieja wyborów kilku kreatur partyjnych do Rad w poszczególnych miejscowościach, które zresztą w tłumie innych zginą bez znaczenia.

Wynik wyborów w Pruszkowie otworzy zapewne obszerną dyskusję nad niefortunnym projektem. Otworzył ją p. Jan Matyasik w „Głosie Narodu“, pisząc:

Zgodzić się może na to chyba doktryner, który dla teorii poświęcić jest gotów najżywcześniejsze interesy państwa, narodu i kultury. Naród z instynktami życia nie pozwoli absolutnie wyrzucić się z zajętych w ciągu kilkusetletniej kampanji pozycji na wschodzie. Raczej odrzucimy 5 przymiotników, niż zrezygnujemy z większości polskich w Wilnie, Lwowie, Stanisławowie, Łucku, Lidzie, czy Pińsku. Do tej sprawy wrócimy jeszcze, uważając ją za problem dziejowej doniosłości dla państwa.

Dziś sygnalizujemy niebezpieczeństwo.

Myślny teraz wszyscy nad tem, jak je zażegnać.

Opinia narodowa domaga się wyczerpujących wyjaśnień.

Skąd dochodzą nas najzdrowsze myśli?

W „Wieńcu i Pszczółce“ polski chłop, stary stojałowszczyk, gospodarz z Ryglie Józef Nockek pisze:

Żadne wybory, czy to do zaborezych parlamentów, czy do Sejmu Ustawodawczego nie były tak ważne, jak te. Tu stanie do walki o panowanie w Polsce Bóg i szatan. — rozstrzygać w niej będziemy my.

Albo prawda z Bogiem tu królować będzie — albo szatan, który zawładnął już Rosją. Teraz właśnie my „śmierzące chamy“ będziemy decydować, kto tu ma być panem!

Za tak straszną rzuconą nam obrazę, za popelniane bluźnierstwa przeciw Bogu, za niewinnie przebraną krew dzieci naszych, przyciśnięci do ziemi straszliwą pięcią ustaw, gdy ginimy z nędzy, ośmieszeni wśród narodów, my Bartki, Wojtki, Maćki, otrząśnijmy się ze zmory, bo czynu nadszedł czas!

Obóz Wielkiej Polski wzywa nas pod sztandar Chrystusa do organizacji wszystkich polskich uczciwych pracowników, do utworzenia jednolitego frontu dla obrony cudem Boskim wskrzeszonej Ojczyzny.

Bracia pamiętajcie, że tylko wyjątkowo w wielkich odstępach czasu Bóg posyła proroki swe do narodu wybranego, aby nie zginął. A właśnie teraz rozległ się proroczy głos po Ojczyźnie naszej: „Budujmy Obóz Wielkiej Polski!“

Takich Józefów Nocków potrzeba nam jak najwięcej, wtedy będziemy spokojni o byt naszej Ojczyzny.

Federalistyczne rozczarowania.

Pięciu posłów schwytano na gorącym uczynku zdrady głównej, ogromna organizacja wywrotowa zlikwidowana. Zdawałoby się, że społeczeństwo powinno lżej odetchnąć.

Prasa narodowa nie może sobie jednak pozwolić na pochwałę p. Ministra spraw wewnętrznych.

„Warszawianka“ drukuje obszernie bardzo streszczenie programu i statutu organizacyjnego Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Gromady. Przytoczymy tutaj rozdział I.

Rozdział I. programu B. W. R. G.:

Samookreślenie narodów i międzynarodowa solidarność pracujących.

1) Cały istniejący między państwami i narodami ustrój powinien być przebudowany na zasadzie samookreślenia narodów.

2) Stojąc na gruncie samookreślenia narodów B. W. R. G. uważa (liczyć) że wszystkie ziemie białoruskie powinny byćłączone i zjednoczone (złączany i objadnany) w niezależną republikę pod władzą włościan i robotników.

Punkty zaś 3 i 4 rozdziału I. mówią o międzynarodowej solidarności pracujących dla stworzenia ścisłego związku socjalistycznego ludów europejskich.

„Kurjer Poznański“ pisząc o tym „Podminowaniu Państwa“ stwierdza:

Taki statut został zatwierdzony przez ministra „sanacji moralnej“. Oczywiście na skutki nie trzeba było długo czekać.

Przybył nowy listek do wieńca zasług b. ministra p. Młodzianowskiego.

Ehr.

ZDROWIE ROMANA DMOWSKIEGO. Roman Dmowski, który od jakiegoś czasu cierpiał na stan zapalny kości szczękowej, w sobotę ubiegłą poddał się operacji mającej na celu usunięcie ropowicy podżuchwowej.

Operacji w lecznicy chirurgicznej „Oreaga“ dokonał profesor Alfred Meissner w asystencji d-rów Józefa Laskowskiego, Wacława Łapińskiego i Władysława Starkiewicza.

Przebieg rekonwalescencji zupełnie normalny, chory szybko powraca do zdrowia.

Dział Organizacyjny.

Jak zapowiadaliśmy, w niedzielę, dnia 16 b. m. odbył się w Poznaniu zjazd Obozu Wielkiej Polski wojew. poznańskiego i pomorskiego z udziałem członków Wielkiej Rady, mieszkających w tych województwach, Oboźnych i członków komitetów wojewódzkich całej dzielnicy zachodniej, (województw: pomorskiego, poznańskiego i łódzkiego) oraz Oboźnych powiatowych.

Po wstępnym przemówieniu oboźnego dzielnicowego, p. Zygmunta Plucińskiego, który między innymi wytłumaczył nieobecność prezesa wielkiej rady, Dmowskiego, nastąpiły krótkie a treściwe sprawozdania organizacyjne oboźnych wojewódzkich, powiatowych, względnie obwodowych, z których wynika, że roboty organizacyjne postąpiły najdalej i są silnie zaawansowane w Łódzkiem.

W dalszym toku zebrania przedstawiono instrukcje Wydziału wykonawczego Wielkiej Rady.

Po Zjeździe tym odbyło się posiedzenie Komitetu Dzielnicy Zachodniej, na którym zdali ze swych czynności sprawę kierownicy poszczególnych działów pracy.

Jest bardzo znamienne, że u boku żelaznej dzielnicy wielkopolskiej, przodującej zawsze w robotach narodowych, stanęła tym razem Łódź.

Oboźny na m. Kraków p. Karol Hubert Rostowski urzęduje u siebie (ul. św. Jana 20 parter) codziennie od 4—5 popoł. z wyjątkiem świąt, niedziel, poniedziałku i środy.

Prenumerata: miesięcznie 1'40 zł., kwartalnie 4 zł., rocznie 16 zł. — Cena egzemplarza 40 gr.

Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 strony 100 zł., 1/4 strony 60 zł., 1/8 strony 30 zł.

Redakcja i Administracja: Kraków, Rynek Główny 6. Szara Kamienica I. piętro oficyny.

Telefon Nr. 2076, godziny urzędowe od 10—1 przedpoł. i 4—6 popoł. — Konto P. K. O. 406.080 Kraków.

Redaktor odpowiedzialny: **Felicjan Gadomski.**

Wydawca: **Tadeusz Buszczyński.**

Drukarnia Gronusia—Orłowskiego w Krakowie, ul. Stolarska 1. 6.